Nr. 5. Lwów, dnia 11. marca 1900. Tom I.

ROMANS I POWIEŚĆ

PISMO TYGODNIOWE, POŚWIĘCONE BELLETRYSTYCE.

Wychodzi każdej niedzieli.

Cena we Lwowie: rocznie 10 koron, półrocznie 5 koron, kwartalnie 2 kor. 50 h.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA Lwów, pl. Marjacki 6.

Cena dla prowincji: rocznie 12 koron, półrocznie 6 koron, kwartalnie 3 korony.

PIOSENKA.

— Co ty tam znowu piszesz!

— Ja, ojcze, ja... nic...

— Nie zapieraj się, pokaż natychmiast.

Młody człowiek, do którego żądanie to było skierowane, zarumienił się aż po białka oczu, przez chwilę znać było, iż walczy ze sobą, że radby z papierem, trzymanym w ręku, zapaść się pod ziemię; posłuszeństwo przeważyło je dnak...

Zbliżył się do ojca i ze spuszczonem okiem podał mu zeszyt, nad którym siedział przed chwilą, zapomniawszy o bożym świecie, o wszystkiem, a zwłaszcza o tem, iż jest tylko szklannemi drzwiami przedzielony od sklepu, że lada chwila zawołać go mogą, że może ktoś nadejść i zejść go przy tak niewłaściwem dla kupca zajęciu, jak pisanie wierszy!

Tak jest, bo młody człowiek pisał wiersze; ostatnie ich wyrazy: „moja ty wiecznie kochana, wiecznie...“ nie zaschły jeszcze, zamazał je palec ojcowski, który miął papier bez miłosierdzia, podczas gdy oczy jego gniewnie przebiegały z biurka na twarz syna i na drzwi, gdzie znajdowali się kupujący.

Stary kupiec i jego syn, podobni byli do siebie jak dwie krople wody, te same rysy twarzy, te same niebieskie oczy, które u ojca usiłowały przybrać wyraz srogości, a u syna mieniły się cichą prośbą o pobłażanie; tylko kolor włosów był inny, u starego czarny, przypruszony już dobrze siwizną, syn miał włosy blond, snać je wziął od matki...

Przez kilka chwil nie mówili nic do siebie, nareszcie młodszy zaczął...

— Nie było roboty...

— Nie było roboty?! Tak tylko każdy próżniak mówi... Nie było roboty, no proszę ja kogo, a nie mogłeś to dojrzeć chłopców, żeby tutki z pieprzem zawijali, jak należy, bo porządek jest duszą wszystkiego! Ale mój pan syn wolał tymczasem głupstwami się zajmować...

Boże mój, jak to jest pisane! Jak tak dalej potrwa, to do reszty popsuje sobie swój charakter... Jeszcze przed trzema tygodniami winszowano mi korespondenta, nie wiedząc, iż ten obowiązek mój pan syn załatwia, a tu dziś zamiast stawiać litery równo, z powagą, jaka zawsze rozważnego kupca cechować powinna, spieszyłeś się, djabeł wie po co i na co, tak jakbyś się bał, że ci to głupstwo ucieknie...

Ale ucieknie ci, jak mi Bóg miły, ja ci powiadam, a mnie znasz, że u mnie słowo jest święte...

— Ojcze!...

— Nie jestem tu ojcem, jestem pryncypałem, rozumiesz i przypominam ci, że czas, za który jesteś płatny w interesie, dla interesu poświęcać winieneś. Ojciec pomówi z tobą kiedyindziej, w domu, niech się i matka dowie, jakiego się dochowała gagatka! Człowiekowi mało głowa nie pęknie, jak pomyśli, że tu i na pensję dla twoich sióstr potrzeba, że ich potem bez grosza z domu nie wezmą, a ty... Przecież i ja także nie wieczny.

— Ojcze!

— Nie jestem twoim ojcem! Jeszcze czego, wierszokleto jakiś, lepiej już raz rzuć sklep, a weź się do pisania jakiego *Kurjerka*. Mniejsza o to, że starą firmę w kąt rzucą, jak się dowiedzą, iż jeden z jej przedstawicieli pisze rozmaite bre- dnie, że siostry twoje, gdy mnie już nie stanie, pójdą za szwaczki lub bony — ty pisz i pisz, kiedy cię jakieś tam wiersze bardziej ciągną, niż obowiązki dla rodziny...

— Ależ, ojcze?

Młody, a niefortunnie tak na gorącym u- czynku złapany poeta, schylił się po rękę oj- cowską i pomimo oporu, silnie ją do ust przy cisnął. Pocałunek ten musiał wiele powiedzieć staremu kupcowi, bo już, już schylał się do głowy syna, gdy nagle, spojrzawszy na ścianę, gdzie w górze wisiało jakieś zakurzone pudło, wstrzymał się... Twarz jego, która złagodniała pod wpływem kornego, pełnego szacunku i mi- łości bezgranicznej pocałunku synowskiego, przystroiła się znowu w wyraz surowości...

— No no, słuchaj, matce na ten raz nic nie powiem, ale i ty także o tem, co było między nami, jej ani mru-mru. Idź do sklepu i popilnuj, bo ja potrzebuję wyjść, zobaczyć się ze znajo- mymi... A głupstwa sobie z głowy wybij!

Z temi słowy stary kupiec wstał, zeszyt kolorowy zamknął do szuflady i wyszedł na miasto, a syn podążył tam, gdzie go wzywał obowiązek — zastąpić ojca, a myśli jego nie wesołym toczyły się biegiem.

„Toć on zawsze przecie był dobrym synem, dzieckiem jeszcze starał się zawsze przynieść obrazek od kanonika za katechizm, potem na grodę ze szkoły, a gdy praktykował u jednego z ojcowskich kolegów, nie mogli się go dosyć nachwalić... I teraz cóż złego robi? Czyż nie pracuje, czyż nie wyręcza ojca, a dla matki i sióstr czyż życia by nie oddał?

Raczejby ręce sobie pourabiał po łokcie, niżby pozwolił, żeby im czego braknąć miało, gdyby nieszczęście jakie. . Ojciec wspomniał, iż go wkrótce może nie stanie. Nie, tak nie będzie, on się przynajmniej nie przyczyni do tego; kolorowy zeszyt niech zostanie na zawsze w szu- fladzie ojcowskiej. Precz z marzeniami, one chle- ba nie dadzą, i nie dadzą cukierków dla jego malutkiej Julci, gdy ta się zapyta: „braciszku, tyś mi pewno co przyniósł?"

Precz z niemi! I poszedł kontrolować, czy tutki z pieprzem mają estetyczne kształty.

Ojciec tymczasem w gronie przyjaciół biadał nad zepsuciem dzisiejszem młodzieży...

— Nie uwierzycie, mówił, co ja mam za u- trapienie z moim chłopakiem.

— Co, z twoim Józiem?... Dałbyś pokój, ka- żdy ojciec mógłby go ci śmiało zazdrościć! Wiesz, moja Kazia dziewczyna niebrzydka, jako tako wychowana, po bożemu i po gospodarsku i nareszcie kilka tysięcy dostanie pod poduszkę, a jednak z zamkniętemi oczami bym mu ją oddał

— Wstydź się, panie Wincenty — mówił drugi — chłopak, pilnuje sklepu, pilnuje domu, a jak ma grosz jaki, to słyszałem zabawki i książki dla sióstr kupuje, a ty się na niego skarżysz. A czy wiesz, co mi mój Jasiek one gdaj zrobił?... Oto lampartował się z jakiemiś kantorzystami i przepił kilkadziesiąt rubli. Ja mu mówię: „ty hultaju jakiś, a nie mogliście pić piwa?" a on mi na to: „ojca przecie znają w całem mieście nie mogłem ojcu robić wstydu." Nie mógł robić wstydu, hultaj! Twój nie zna, co to kolacyjki nocne!

— Oh, gdyby raczej był raz i drugi pohulał, piwko młode wyszumieć się musi, albośmy i my za młodu byli lepsi?

Tu pan Wincenty westchnął.

— Jakto, czyżby to było jeszcze coś gor- szego, czy przypadkiem nie zakochał się w ja- kiejś tam...

Drugie westchnienie było odpowiedzią

— Cóż więc takiego — zapytali raz jeszcze — teraz już chórem wszyscy zebrani...

— Wiersze pisze!

Wszyscy pokręcili nosami i machinalnie łyżeczkami w filiżankach mieszać zaczęli nie zważając, iż u wielu z nich nie było już kawy.

— No tak — odezwał się wreszcie jeden — to nie wesołe? z takiego co wiersze pisze, nigdy porządny kupiec nie będzie...

— Gdyby się zakochał, choćby w jakiej ka- wiarce, ta mogłaby mu się naprzykrzyć, ale podobno ta poezja, jak się kogo uczepi, to choćby się potem nawet topił, odkaraskać się od niej nie może!

— To też ja mu teraz, póki czas, z głowy ją wybiję!

— Daj mu kilkanaście rubli w kieszeń, niech pojedzie do Doliny, albo gdzie; — chcesz, to ja po niego mojego Jaśka przyślę...

— A możeby mu poszukać?...

Ale starego kupca nie trzymały się już

żarty, nie chciał nawet wypić kolejki koniaku po kawie, tylko wziął za czapkę i podążył ku domowi. Śnieg padał, a jednak mimo to niesporo szedł mu powrót... Zawracał raz i drugi od rogu ulicy, nie chcąc wejść do sklepu, a co ważniejsza, nie chcąc spotkać się z synem, który mu taki wstyd przynosi. Nareszcie zdecydował się wejść wprost do mieszkania.

Zziębnięty, a więc jeszcze gorzej zły przez to, nie rozbierając się, otworzył drzwi od pokoju, w którym siedziała jasnowłosa, piękna jeszcze pomimo skończonych lat czterdziestu, kobieta...

Ta, rzuciwszy okiem na swego męża i pana, spostrzegła od razu, iż musiało mu pójść coś nie po myśli, bo zaczęła sama.

— Cóż to Wicunio taki mi dzisiaj zły do domu przychodzi. *Sancta veritas* zawiodła? Ograli cię, biedaku?

Mówiąc to, rozbierała męża, obcierając mu jednocześnie zaśnieżoną twarz i wąsy, i patrząc nań z miłością, tak jak robiła to codzień od lat dwudziestu paru.

— No, no — ciągnęła dalej — nie chmurz się, toć nie zbiednieliśmy przez te kilka złotych. Pracujesz ciężko, więc ci się należy żebyś się rozerwał, pogadał z ludźmi, ale mój pan małżonek to z grosza zawszeby trzy chciał zrobić, żeby dla nas niczego nie brakło, a sam sobie żałuje. Ale dałbyś już pokój. Bądź spokojny, Józio za ciebie dziesięć razy tyle tymczasem zarobił.

— Tylko mi o nim nie gadaj, stara! Ładnie on zarabia!...

Czoło matki pokryło się chmurą. Niedawno jeszcze tak wesoła, chciałaby pytać, co się stało, ale stary kupiec nie dał jej przyjść do słowa.

— Niech zamyka sklep — rzekł, spoglądając na zegarek — i niech mi się na oczy nie pokazuje.

Serce matki zadrzało.

— Cóż on takiego zrobił?

— Wiersze pisze!

— No to i cóż tak złego, czy wolałbyś, żeby się lampartował, żeby hulał?

— Wolałbym!

— Daj pokój, gdyby tak było, miałbyś rację, gdybyś się na niego gniewał, ale tak nie dam powiedzieć na niego ani słowa. Chłopiec spokojny, jeżeli czasem nie pójdzie z nami do teatru lub do znajomych, siedzi przy książce.

— Żeby ich lepiej nie znał, co z niego teraz będzie, co z niego będzie?...

— Co? taki sam kupiec jak i ty, alboś i ty także za młodu...

— Co ja, oszalałaś chyba, kobieto, ja, ja wiersze pisałem?

— A przecież, na imieniny, gdyś się jeszcze starał o mnie...

— Boś wtedy była córką bogatego kupca, a zresztą to nie były moje wiersze, tylko przepisane od któregoś z przyjaciół.

— A przytem i na skrzypcach grałeś...

— Grałeś, grałeś, ale jak ci ojciec umarł i trzeba było myśleć o matce twojej i o siostrach, tom skrzypce zawiesił w kantorze, gdzie jeszcze wiszą sobie, a czym dotąd o nich pomyślał choćby raz jeden...

— Bądź spokojny, gdyby potrzeba było i Józio by to samo dla swojej matki i dla sióstr zrobił. Znam jego serce.

— No tak, serce ma dobre, ale dla czego myśli o głupstwach.

— Przestanie, przestanie, tylko nie gniewaj się na niego. No, stary, słuchaj, on już tu idzie, zostań i powiedz, że mu przebaczasz...

— Nigdy, niech rzuci poezję, to będę dlań znowu ojcem... a kiedy już idzie, to ja od was uciekam. Ty z nim pogadaj, powiedz mu, że mnie zmartwił i niech mnie jutro przeprosi, i powiedz mu także, iż wierszokleci, to najnędzniejszy gatunek ludzi, bo bez butów chodzą, bez butów!...

I stary kupiec, wymówiwszy ostatnie słowa z przyciskiem, brał za czapkę.

— Gdzie idziesz?

— Do kantoru, mam jeszcze przejrzeć rachunki, a ty tymczasem nagadaj Józiowi, co się zmieści.

Wyszedł, a matka uspokojona już, że gniew ojca przeminął, pospieszyła na schody do swego jedynaka, by go czulej jeszcze niż zwykle przycisnąć do serca.

— Toś ty poetą, Józiu, toś ty poetą, a czemuś mi, niedobry, nic o tem dotąd nie powiedział?...

— Bo ojciec...

— Nie bój się, ojciec się udobrucha — i jeszcze raz go ucałowała, jakby go chcąc zapewnić, że przeciw gniewom ojcowskim zawsze jak tarczą go osłoni jej serce matczyne.

Stary kupiec tymczasem zabierał się do sprawdzania rachunków.

Otworzył szufladę, wyjął z niej księgę kon-

tową, ale jednocześnie z biurka wyleciało coś... To coś było owym nieszczęsnym schowanym przed kilku godzinami kolorowym zeszytem.

Rozgniewany ojciec, który uciekł z domu, by przy żonie i przy dzieciach nie obsypać wyrzutami niegodnego, zrazu odsunął od siebie nogą nic nie winne nikomu wierszyki, i pogrążył się cały w obliczanie należności od kundmanów, z pomiędzy jednak stosu cyfr, patrzyły nań łagodne, a proszące oczy syna.

Potarł ręką czoło, aby myśl uporczywą o nim odpędzić i przypomniał mu się pocałunek tak pełen czci synowskiej i przywiązania, którym go chciał chłopak przebłagać za dzisiejszą winę; przypomniało mu się tysiące innych pocałunków, któremi mały Józio witał dłoń ojcowską i myśleć w głos zaczął.

— Rzeczywiście, to chłopak nie taki zły, to nie urwis Jasiek, abo jaki drugi, co po nocach ojcowską krwawą pracę traci...

Nad głową rozległy się odgłosy kroków biegających dzieci.

— Ot i teraz, pomyślał, bawi się z siostrami... A jak one go kochają i jak on je kocha!... Mogę być spokojny, gdy mnie Bóg zabierze, że im się żadna krzywda nie stania. To moja krew!

— Moja krew — powtórzył po chwili — ale dla czegóż wiersze pisze. Założyłbym się, że muszą być niezmiernie głupie...

To mówiąc, podniósł z ziemi zeszyt, zapalił cygaro, które mu zagasło i spojrzał na czarne szeregi liter, spojrzał i czytać zaczął.

Z początku gryzł cygaro, które pomimo powtórnego zapalenia ciągnąć nie chciało, wyrwało mu się jeszcze parę razy: Smarkacz, po co czas napróżno traci, ale wkrótce oczy zaświeciły mu żywszym blaskiem, zapomniał o księdze kontowej i o hałasie, jaki go z góry wciąż dochodził i przerzucał kartkę jedną po drugiej i czytał tylko, a czytał.

A jeszcze po chwili, gdyby ktoś wszedł do kantoru po za sklepem, zobaczyłby starego kupca, jak odrzuciwszy rachunki, wspinał się po zakurzone pudło, mrucząc: „ależ to ładne, to wcale ładne“...

A jeszcze po chwili wyjął z pudła skrzypce i stroił je rozrzewniony, by dobrać melodję do słów syna i szeptał z okiem wilgotnem, lecz już uśmiechnięty i otoczony rojem wspomnień własnej młodości złotej:

— Moja krew! moja krew!..

Al. Messyng.

TAJEMNICZA ZBRODNIA.

ROMANS

Eugeniusza Chavette.

(Ciąg dalszy).

I zamiast się przeląkł takiego sprytu w młodej dziewczynie, zawierającego może niezbyt pożądane skłonności, ten ojciec cieszył się, że ma tak mądrą córkę. Desormeaux, jak wiemy, żywił złudzenie, że u Gabrjeli rozum i serce pozostały wolne od wszelkiego podobieństwa z naturą giełdzisty, na wskroś zepsutą. Ta komedja z bukietem, zdradzając zmowę ojca i córki, dla oszukania go, raptownie stłumiła wszelkie jego złudzenia i jego cześć dla panny Cambart, odrazu przeszła w uczucie wstrętu

— Ma ona w sobie tę samą rasę — rzekł do siebie, wpinając podaną mu różę w dziurkę od surduta.

Istnieje mniemanie, że w pewnych okolicznościach człowiek doświadcza raptownie pewnego przeczucia, którego należy słuchać, bo ono wskazuje prawdziwą drogę postępowania. Być może, że tego doznał i nasz młodzieniec, ponieważ, kiedy wpiąwszy kwiat, podniósł głowę, wzrok jego napotkał brzydką postać panny Baldoin, nauczycielki, która podczas tej sceny, siedziała nieruchoma i milcząca w kącie salonu.

Za dawnych wizyt Cezar nie zwrócił większej uwagi na tę kobietę, która dlań była prawie obojętną, teraz jednak na jej widok uczuł jakąś wstrętną odrazę, tak, że sobie pomyślał:

— Ta kobieta grosza nie warta!

W tejże chwili drzwi otworzyły się do jadalnego pokoju i służący zapowiedział obiad.

— Bardzo dobrze! — rzekł Cambart. — Rozkaż służbie śpieszyć się, Babtysto, bo ważne i pilne interesa powołują mnie na miasto.

Wymawiając te wyrazy, które powtarzał prawie codzień, papa wszedł do pokoju jadalnego pierwszy.

Desormeaux i Gabrjela, której młodzieniec podał ramię, szli po za nim, a następnie nauczycielka.

Cezar postanowił spróbować odwetu za kłamstwo córki i ojca, z powodu bukietu. I kiedy uczuł rękę Gabrjeli, opierającą się na jego ramieniu, uznał za stosowne wykonać drugie doświadczenie Korzystając też z ostatnich słów giełdzisty, zawołał:

— A, skoro mówisz o interesach, przypomina mi to zapytanie, któreś mi uczynił wczoraj.

— Jakie? — rzekł Cambart, nic nie podejrzewając

— Pytałeś mnie o stan majątkowy niejakiego Leona Barantel... Zebrałem o nim dzisiaj wiadomości... podobno jest doszczętnie zrujnowany... i dla podreperowania się liczy tylko na dobry ożenek... Mówiono mi, że znalazł jakąś rodzinę, która wierzy jeszcze, że ma w kieszeni talary..

— Tak!... a ja ci powiadam, że tym, którzy ci to mówili, możesz oświadczyć, że się grubo mylą, bo ja także od dziś wiem najdoskonalej, że ten pan posiada wspaniałą fortunę.

I po tej odpowiedzi wybuchnąwszy śmiechem, Cambart przesłał spojrzenie córce, która, przyszedłszy do stołu, stała przed nim badając go wzrokiem

Niestety, spojrzenie i odpowiedź nastąpiły zapóźno.

Desormeaux, kiedy zwiastował ruinę majątkową swego właściciela domu, uczuł, jak nerwowo skurczyła się ręka Gabrjeli.

— Ho! ho! teraz już rzecz pewna, że to na Barantela polują — pomyślał, przekonany ostatecznie tem doświadczeniem.

Obiad nie był ani długi, ani wesoły, bo prawie od samego początku panna Cambart przybrała pozę omdlewającą, tak, że ojciec, zauważywszy to, zawołał prawie natychmiast:

— Widzę, że masz migrenę, moje biedne dziecko... Cezar i ja prędko też odejdziemy, ażebyś wypoczęła.

Godzina nie upłynęła a obiadujący już się pożegnali z Gabrjelą.

Z ulicy Vivienne obaj przeszli na róg bulwaru; tu Cezar zatrzymał się i podał rękę towarzyszowi.

Ten gest jakby uradował giełdziarza, który od czasu wyjścia z domu, jakby był o coś niespokojny. Skwapliwie też uścisnął podaną mu rękę i rzekł:

— No, więc się już rozstajemy?.. Ha! do jutra zatem, mój drogi, i dobrej nocy..

— Co!.. dobrej nocy! — powtórzył młodzieniec ze śmiechem — lepiej byłoby, ażebyś mi życzył powodzenia w lancknechcie u Krapiszetki

— Więc przyjdziesz? — zapytał

— Tak, ale około północy dopiero, bo chcę dziś być na nowej sztuce w teatrze

— Ha! to szczere życzenia i dobrej zabawy, do widzenia!

Ale kiedy giełdzista się z nim pożegnał, młodzieniec nasz, zamiast iść do teatru po bilet, udał się do Krapiszetki, ażeby się dowiedzieć, co miały znaczyć jej słowa zagadkowe o figlu, jaki mu chce Cambart wypłatać.

Wizyta u Krapiszetki zupełnie naszego bohatera zadowoliła.

Dowiedział się od niej, ze Cambart istotnie zapolował na Leona Barantela

Dlaczego więc z nim, z Cezarem jeszcze nie zerwał?

Oto jak rozumowała Krapiszetka, wyprowadzając wnioski z rozumowań sprytnego finansisty.

Barantel bogaty jest i naiwny. Jeżeli Gabrjela mu się naprawdę spodoba, a podobno już się w niej zadurzył, wtedy pozwoli się zupełnie usidlić przyszłemu teściowi, da się uwikłać w jego spekulacje, a Cambard jak się doń sprytnie weźmie, to albo go z pierza obedrze całkiem, albo też tak opanuje Barantela, że go weźmie za zięcia. Gdyby jednak to było zbyteczne, gdyby już Barantel pozwolił się przyszłemu teściowi wyzyskać, wtedy Cezar otrzyma rękę Gabrjeli.

ROZDZIAŁ IV.

Cezar, wyszedłszy od Krapiszetki, wsiadł do dorożki, ale że na rozmowie spędził kawał czasu, była już północ prawie, kiedy przybył do domu

Na odgłos dzwonka, odźwierny wybiegł ze swej izdebki, a zobaczywszy lokatora, pośpieszył mu ofiarować zapaloną świecę..

— Mam zaszczyt złożyć uszanowanie panu i zapytać go pokornie, czy przed ułożeniem się na spoczynek, nie chce pan, abym mu dostarczył czego lekkiego do jedzenia, naprzykład, drugę szynkę, pasztet, kilka funtów chleba — zapytał, pełen grzeczności, a zwłaszcza zachwytu dla olbrzymiego apetytu młodzieńca.

— Dziękuję ci, mój Ignacy.

— To pozwoli mi pan, abym mu życzył snu szczęśliwego i dobrej nocy.

— Nie, bo natychmiast wyjdę... ale nie trudź się. Wiem, jak sznurek można wyciągnąć lufcikiem. Możesz się więc położyć do łóżka.

— Chyba jedynie, ażeby być panu posłusznym.

Cezar, wziąwszy świecę z rąk odźwiernego, zapytał jeszcze:

— Czy nie był kto u mnie z wizytą?

— A tak... przepraszam... przychodził właściciel, pan Leon Barantel, pragnąc porozumieć się z panem, co do małych reperacyj, których pan żądał w salonie i kuchni.

— A! i, nie zastawszy mnie, powiedział, że jeszcze raz przyjdzie?

— Nie, panie... Ażeby nie przychodzić później, a nadewszystko, ażeby pan zbyt długo nie czekał na naprawę, pan Barantel wolał skorzystać z pańskiej nieobecności, ażeby zobaczyć, jakie roboty należy przedsięwziąć, a ponieważ powiedziałem, że mam drugi klucz do mieszkania, postanowił obejrzeć mieszkanie pańskie.

— O! obejrzeć mieszkanie... przecież nie całe? powinien był zobaczyć tylko salon i kuchnię — zauważył Cezar, który nadstawił uszu na te wiadomości.

— Pan właściciel myślał, że mógł pan zapomnieć o reperacji w innych pokojach, i chciał dla pana okazać uprzejmość, więcej robiąc, niż pan żądałeś... Dlatego też oglądał wszystkie pokoje.

— Ale oprócz tych naturalnie, które są pod pieczęciami? — dodał młodzieniec.

— Tak, naturalnie, jak pan powiada... a ja muszę nadmienić, że te pokoje zapieczętowane bardzo zainteresowały właściciela, który... jak mi powtarzał, nigdy ich w życiu nie widział... i przyglądał się jednym drzwiom po drugim, z żywą ciekawością.

— Doprawdy?

— Tak, panie. Potem nastąpiły liczne zapytania o tragicznem zdarzeniu, które, jak panu wiadomo, stało się, podczas gdy pan Barantel znajdował się w podróży.

Gdy to odźwierny opowiadał, kukułka na zegarze w jego izdebce wydzwoniła północ.

— Idź spać, Ignacy — powiedział Cezar — i nie niepokój się tem, że zaraz wyjdę. Sznurek wyciągnę przez lufcik; możesz więc spać spokojnie.

I młodzienic opuścił godnego odźwiernego, który wszedł do izdebki, mrucząc:

— Spać... kiedy mojej Eudoksji tu niema! Czyż będę miał odwagę.

Desormeaux, przyszedłszy do siebie, przedewszystkiem odsunął rygle. Potem dostał się do pokoju, gdzie przed dwudziestu czterema godzinami przepędził noc tak szczególną. Następnie stanął przed drzwiami, które go oddzielały od pokoju zbrodni i, zapukawszy w nie trzy razy, zapytał głosem bardzo czułym:

— Czy śpisz, sąsiadeczko?...

— Nie, panie Cezarze — odpowiedział głos bardzo słodki i nieco drżący.

— To otwórz, sąsiadeczko, okienko, jeżeli łaska.

— Dobrze, biorę się do mego rusztowania — dodał organ kobiecy.

— A ja będę panią naśladował — odrzekł młodzieniec i przysunął do drzwi stół, a na nim postawił krzesło. Potem, widocznie, nie chcąc schodzić później, postawił na końcu stołu resztkę wiktuałów rannych, które wyjął z szafy, gdzie je był zamknął.

To uczyniwszy, wlazł na stół, posługując się drugiem krzesełkiem, wszedł na krzesło, i tak umieściwszy się, znalazł się na wysokości ruchomego okienka, umieszczonego w górze przeforsztowania.

W tejże chwili szyba, otwierająca się z wewnątrz klamką, zsunęła się na zawiasach, okienko pozostało otworem, a w tem okienku ukazała się zachwycająca główka jasnowłosa nieco przerażona, która na samym wstępie rzekła:

— Ponieważ sąd pozostawił podniesione rolety w oknach, niepodobna mi zapalać światła, bo blask jego, wydostający się na zewnątrz, obudziłby podejrzenie sąsiadów. Dlatego czas mi się wydał bardzo długim w tej ciemności... Nie mówiąc o tem, że na chwilę myślałam nawet, żeś pan o mnie zapomniał...

— Ja miałbym o pani zapomnieć! Czyś mogła mnie uważać za zdolnego coś podobnego uczynić... No, powiedz, sąsiadeczko?...

— Co, panie Cezarze?

— Nocy ostatniej, zapytała mnie pani o moje imię, a zapomniała pani powiedzieć mi swoje własne.

— Ja mam na imię Lucylla.

— O! bardzo ładniutkie imię... Otóż moja piękna Lucyllo, zacznijmy od rzeczy najpotrzebniejszej!... od kolacji.

— Z przyjemnością — oświadczyła otwarcie ładna kobieta.

— A! — wyrzekł Desormeaux, jakoś raptownie zadumany — myślę o jednej rzeczy... Nie będziesz pani mogła jeść tak po ciemku w swoim pokoju... Otóż uczynię pewną propozycję... A najprzód powiedz mi pani, czy dość silnie stoisz na tem rusztowaniu, tak, że nie potrzebujesz się trzymać rękoma?

— Doskonale, a oto widzi pan, na dowód — rzekła blondynka, pokazując w otworze dwie drobne rączki wolne, które młodzieniec opanował szybko i puścił je dopiero po złożeniu na nich podwójnego pocałunku.

— O! o! psujesz mi pan równowagę. Upadnę! — wyjąkała śliczna istota, zaniepokojona niespodziewaną pieszczotą.

— Teraz przejdźmy do innego ćwiczenia, proszę, Lucyllo, weź ten widelec.

— Czy chcesz pan, ażebym jadła kolację na mem rusztowaniu?—zapytała blondynka, znowu się śmiejąc.

— Zgadłaś, sąsiadko. Pokraję ci kawałki na talerzu i trzymać go będę w górze, a ty będziesz mogła je dostać widelcem przez okienko...

— Ale pan nie będziesz mógł jeść kolacji?

— O! ja tak zrobię, jak to bywa na balach, gdzie kawalerzy siadają do stołu wtedy dopiero, gdy panie skończą jeść. Zgoda więc? Może ci podać trochę kurczaka, sąsiadeczko?

— Proszę, kawałek piersi — odpowiedziała dama, wesoło przyjmując propozycję.

Desormeaux podał jej talerz, na którym pokrajał kurczę na drobne kawałki.

— O, proszę — rzekł — proszę brać teraz widelcem. . proszę się nie bać, ja trzymam mocno... położyłem też pani kawałek chleba na talerzu.

Blondynka wykonała ruch nakazany, i pierwszy kawałek kurczaka już znalazł się pod podwójnym szeregiem perełek.

— O! co za śliczne ząbki! — pomyślał Cezar.

Poczem dodał głośno:

— A teraz, Lucyllo, podczas tej kolacji, powinniśmy trochę pomówić... choć odrobinę... o! tyćko, jak ten kawałeczek kurczaka na talerzu.

— Pomówmy.

— Czy długo zamierzasz tak siedzieć pod pieczęciami?

— O ile będzie można.

— Ależ, prześliczny ptaszku, czy nie pomyślisz o tem, iż mąż twój jest oskarżony o to, że ciebie zamordował.

— No, to widzisz pan, że ludzie których zabija, miewają się dobrze.

— Tak, ale niechaj jutro sprawiedliwość go złapie, to go zaraz zamkną do więzienia...

— Proszę pana jeszcze o kawałek kurczaka — przerwała spokojnie Lucylla.

— Bum!!! — rzekł Cezar, wcale niezmieszany.

I zeszedł z krzesła, ażeby przygotować żądane jedzenie.

— A! zająłeś pan mój dawniejszy gabinet? — odezwała się blondynka, która, przesunąwszy głowę przez okienko, przyglądała się meblom kawalera.

— I sam sobie jestem wdzięcznym, ponieważ to sąsiedztwo dostarczyło mi przyjemności... jak przyznaję, bardzo niespodziewanej... bo zabrałem znajomość z panią.

— Tak, pojmuję, iż pan nie spodziewałeś się mnie zastać w tym tutaj pokoju.

— Tak, zwłaszcza po tem, jak sąd zwiedzał i przetrząsał wszystkie kąty.. a pani chociaż jesteś tak drobniutką, nie mogłaś się przecież schować do niedostrzegalnej szuflady.

— Zatem zniknięcie moje musiało bardzo zaintrygować komisarza, sędziego śledczego i innych?

— Wszędzie szukają twego ciała.

Po tej odpowiedzi, Cezar, który wlazł znów na krzesło, podał jej talerz, dodając, z miną przepysznie poważną:

— Kurczę gotowe!

Za trzecim kąskiem blondynka przestała jeść i odezwała się bardzo miluchno:

— Pić mi się chce, panie Cezarze:

— Bum!!! — powtórzył młodzieniec — zaraz schodzę do piwnicy.

— Przepraszam cię, mój sąsiedzie, że tyle ci sprawiam kłopotu.

— Żałuję mocno, że nie żądasz pani odemnie czegoś niemożebnego, bo i to bym uczynił — odrzekł szarmancko Desormeaux, który przed krzesełkiem nalewał do szklanki wody, wina czerwonego.

W tem, co powiedział, był tylko na wpół szczery, bo gdyby niemożebność była możliwą do urzeczywistnienia, możnaby się założyć, iżby starał się przedostać sam przez okienko, na nieszczęście zbyt wąskie, ażeby mógł się całą postacią przez nie przecisnąć.

Wszedł znów na stół, ażeby podać szklankę czekającej, która oddała mu ją, wychyloną do połowy.

— Mam myśl — zawołał.

— Jaką?

— Powiadają, że gdy się pije po kimś, można dowiedzieć się, co myśli... Zaraz się przekonam, czy to prawda.

I powoli wychylił szklankę, podczas gdy blondynka przypatrywała mu się wzrokiem drwiącym.

— Hm! hm! — rzekł, mlaszcząc językiem.

— Czyżby moja myśl była tak szczególną, że pan taką masz minę? — zapytała Lucylla ze śmiechem.

Na chybił trafił młodzieniec odpowiedział:

— Nie; dowiedziałem się tylko, iż pani jesteś... ale nie śmiem za wiele powiedzieć...

— Odważ się pan, bez obawy... jestem zupełnie pewną, że się pan mylisz...

— Ha! skoro pani pozwala... to powiem, że jesteś zakochana... i to zakochana, co się zowie.

Widocznie nie musiał się tak nazbyt mylić — bo Lucylla, skoro tylko usłyszała te słowa, mocno się zarumieniła i głosem wzruszonym, wykrzyknęła:

— Zakochana! ja?... A to dobre!... I w kimże jestem tak zakochaną?

— No, to pewna, że nie w panu Dargon — odparł Cezar.

Na imię męża, niewiasta pod pieczęciami wybuchnęła szczerym śmiechem i odpowiedziała żywo...

— Ha! ha!... Naturalnie, że nie w nim.. o! co nie, to nie!

— Strzeż się, sąsiadeczko, strzeż się! popełniasz nieostrożność... Cyt! cyt! — rzekł młodzieniec, również się śmiejąc.

— Gdzież pan w tem widzisz nieostrożność?

— No, bo to prawie już wyznanie.. Skoro mówisz, że to nie on, to już prawie spowiadasz się, że istnieje inny, którego nazwisko nie wywołałoby takiego śmiechu.

Potem, z udaną szczerością, dodał:

— Czyż możesz tak mówić o tym nieszczęśliwym Dargonie, twym mężu!

Piękna blondynka, daleka od odzyskania powagi, wzruszyła ramionami i wyrzekła tonem lekceważącym:

— O! mąż mój... o! on tak mało nim był.

— No, powiedz pani lepiej odrazu, że nim nie był wcale — ciągnął dalej Cezar, udanym tonem strofującym.

— Jeżeli panu sprawi przyjemność ta wiadomość, wyznaję, że on nim nie był nawet wcale — oświadczyła Lucylla, ciągle się śmiejąc.

— Doprawdy! — wyrzekł Desormeaux zdziwiony. — I to prawda, że wcale, a wcale?

— Wcale, a wcale — powtórzyła.

— Dlaczego więc pani zaślubiłaś tego gagatka w okularach.

— A tak! — wyrzekła pani Dargon takim tonem, że pytający zrozumiał, iż się więcej nie dowie.

Cezar postarał się jednak uczynić jeszcze inny wyłom, ażeby wrócić do ataku, i zaczął potrząsać głową, znowu zagadnąwszy:

— To nie przeszkadza, sąsiadko, że szpetnie robisz, iż pozwalasz wisieć strasznemu oskarżeniu nad tym biednym człowiekiem, który, pomimo całej brzydoty, w jaką go wyposażyła natura, niemniej jest zupełnie niewinny tej zbrodni morderstwa.

— Bo, bo! wierzaj mi pan, że Dargon nie jest wcale interesujący.

— Tak! ale ja to podnoszę, że nie jest wcale mordercą. (C. d n.)

UKRYTE MILJONY.

POWIEŚĆ Z KRAJU BOERÓW

z angielskiego

H. J. Rosny.

(Ciąg dalszy).

— Zdaje mi się, że parę lat. Choćbyśmy mieli miejsce nawet wiadome, to z powodu możliwej pomyłki, musielibyśmy szukać go na wielkiej przestrzeni. Z drugiej strony, skarb mógł być zakopany lub rzucony w przepaść. W wypadku pierwszym nietrudno byłoby odszukać go w ziemi, rozumie się jeżeliby nie należała ona do nikogo.

— W górach, na wysokości dwóch tysięcy metrów? — zauważył Marcjal.

— To uwaga słuszna, ale przyznasz, że potrzeba będzie długich i pracowitych poszukiwań, nawet na przestrzeni niewielkiej. W razie rzucenia skarbu w przepaść, zadanie byłoby łatwiejsze lub wprost niemożliwe do wykonania. Zresztą możemy znaleźć wiele przepaści na przestrzeni wskazanej. Wszystko to będzie wymagało długiego czasu.

— Nie przypuszczam.

— Nie przypuszczasz!... chyba spodziewasz się mieć jakie sposoby nadzwyczajne.

— Znajdę je.

— Czy mogę wiedzieć jakie?

— Powiem o nich później. Wyprawa ta będzie

bardzo uciążliwą, a nawet niebezpieczną, mój Janie, namyśl się więc dobrze. Środek, o którym mówię, prawdopodobnie, posłużyłby tylko do skrócenia czasu poszukiwań.

— Cokolwiekbądź nastąpi, pojadę z tobą.

— Dziękuję ci, Janie — rzekła Augustyna.

— Pozostaje tylko — rzekł Jan po chwilowem milczeniu — odkryć szerokość geograficzną.

— W tym celu wyjeżdżam jutro do Holandji.

— Dokąd mianowicie? — zapytała Augustyna.

— Do Breda.

— Dlaczegoż do Breda, a nie do Harlemu lub Amsterdamu?

— Dlatego, że z Breda otrzymałem list od pana Norberta Van Reutha z prośbą o zobaczenie się z nim pierwej niż z innymi. Sądzi on, że jest tym, którego poszukuję.

— Wszystko to niezmiernie dziwne — zawołała Augustyna — i dodam że dobrze wróżące.

— Tak, to pierwsze ogniwo, z którem zetkniemy się w rzeczywistości — dorzucił Jan.

. . . .

Na drugi dzień rano Marcjal podczas ogromnej burzy przeplatanej grzmotami i błyskawicami, opuścił dom i udał się na pociąg odchodzący do Holandji.

XI.

W pociągu, Marcjal, pogrążony w rozmyślaniach o swem przedsięwzięciu, pomimo znużenia, nie mógł zasnąć. Burza uspokoiła się nieco; przyjemny zapach fiołków, odor siarki, dawały się uczuwać w powietrzu po wyładowaniach elektrycznych.

Siedział w przedziale sam aż do stacji Tergnier, a że pragnął samotności, rad był więc, że żaden z pasażerów nie zakłócił mu spokoju. Pociąg gwizdnął i ruszył już z miejsca, gdy wtem drzwi otworzyły się gwałtownie i dwaj podróżni wszedłszy do przedziału, rzucili na ławkę swe walizy.

Na okoliczność tę, tak pospolitą w podróży, Marcjal w pierwszej chwili nie zwrócił uwagi, ale gdy spostrzegł, że podróżni ci należą do narodowości angielskiej, przypomniał sobie, że, stosujący się do tego pociągu pociąg z Calais, przybył na stację już od pięciu minut i wszyscy pasażerowie oddawna już siedzieli na miejscach.

Należało przypuszczać, że ci dwaj oczekiwali na peronie; otóż Marcjal stojąc w oknie na chwilę przed ich wejściem, cieszył się widząc, że na peronie nie ma nikogo i nikt już nie przerwie mu samotności. Wtedy w umyśle jego powstało przypuszczenie, że ci dwaj anglicy opuścili przedział inny, ażeby zająć miejsce w towarzystwie jego.

Pociąg pędził; przyjemne, orzeźwiające powietrze napływało do wagonu przez otwarte okno. Anglicy zaczęli skarżyć się na zimno i zamknęli okno.

Wtedy powietrze w wagonie, stając się coraz cieplejszem i cięższem, wywołało w Marcjalu usposobienie do snu.

Przymknął powieki i zaczynał powoli zapadać w półsenność. Wypadki ostatnich kilku dni przesuwały się przez jego wyobraźnię, ale zmienione tak, że mające znaczenie główne ustępowały miejsca podrzędnym, stosownie do charakterystycznej cechy snu, według której myśli luźne lub ledwie powzięte dnia poprzedniego, rozwijają się w obraz całkowity. Nie papiery więc i książki odgrywały rolę główną, ale pręt żelazny obracający się w skrzynce i śpiewający jakąś arję, zastosowaną do słów symbolicznych.

Po muzyce nastąpił odor kartofli zepsutych, dla usprawiedliwienia którego półsen Marcjala wywołał w wyobraźni koszyk z owocami w sali stołowej. Nagle, bez żadnego innego wrażenia, Marcjal przebudził się ze słowem na ustach:

— Chloroform!

Wstrząsnął się i stanął na nogi. Mocny odor chloroformu napełniał przedział. Wydzielał się on z chustki, którą jeden z anglików stojący przy zapuszczonem oknie, trzymał w rękach, podczas gdy drugi udawał jak gdyby obnażał rękę. Ale wymienione przez nich spojrzenie w chwili gdy Marcjal zerwał się z siedzenia, zaprzeczało ich spokojnej postawie: było to wprost spojrzenie bandytów.

Marcjal nie zawahał się ani chwili. Szybko otworzył drzwi i widząc, że anglik odwrócił się ku niemu, ciągle trzymając chustkę, wyjął z kieszeni rewolwer.

Przez dwie minuty dwaj podróżni i Marcjal spoglądali na siebie jak krwiożercze zwierzęta w lesie, poczem ten ostatni, wyciągnąwszy rękę do przyrządu alarmowego, spokojnie rzekł po angielsku:

— Jeżeli jeden krok postąpisz ku mnie, roztrzaskam ci łeb i dam sygnał alarmowy.

— Och! — rzekł anglik i usiadł.

— A teraz — odrzekł Marcjal — możemy pomówić. Lecz przedewszystkiem bądź pan łaskaw wyrzucić tę chustkę za okno.

— To jest bandaż, który przygotowywałem dla mego przyjaciela — mruknął anglik, widocznie poskromiony. — Ale skoro on panu przeszkadza, to wyrzucę.

I powiedziawszy to, rzucił chustkę w twarz Mar-

cjala, który, powstrzymując się od oddychania, pochwycił ją i wyrzucił za okno.

— A teraz — rzekł wzburzony — oto moje warunki: na pierwszej zaraz stacji przejdę do przedziału innego, a jeżeli przez ten czas którykolwiek z was podniesie rękę, wpakuję mu w głowę kulę.

— Niesłusznie pan się gniewasz — poważnie odrzekł anglik mniejszy, który dotychczas milczał — nie mieliśmy względem pana żadnych złych zamiarów. Bardzo boli mnie ręka, oto dowód.

Uchylił rękaw, zdjął plaster i pokazał ranę, pochodzącą, jak zdawało się, od skaleczenia.

Marcjal spostrzegłszy ją, przypomniał sobie ślady krwi na murze, otaczającym fabrykę i odrzekł ironicznie:

— Możnaby sądzić, że skaleczył się pan szkłem.

Anglik chciał się rzucić na niego, lecz Marcjal wymierzył ku niemu rewolwer.

— Nie ruszaj się pan, bo dość mi pociągnąć za to kółko, ażeby cię oddać w ręce policji.

— Nie obawiamy się niczego — rzekł anglik wyższy — jesteśmy ludźmi spokojnymi.

— Być może, jednak nie potrafilibyście usprawiedliwić się z napadu na mój dom pomiędzy północą a godziną trzecią rano.

— Mówi pan zbyt lekkomyślnie, gdyż nie potrafiłby słów swoich poprzeć dowodami.

Marcjal pomyślał, że rzeczywiście nie posiada żadnego dowodu i że ci panowie są prawdopodobnie prywatnymi agentami tajnymi, umiejącymi zabezpieczyć się od odpowiedzialności. Wydanie ich w ręce policji sprawiłoby mu więcej kłopotu, niż przyniosło korzyści.

— Nie myślę wdawać się z wami w dyskusję i pozostaję przy tem, co powiedziałem.

Stanowczy i pogardliwy ton słów Marcjala, oraz głos spokojny wywarły wpływ na pasażerów. Umilkli i przymknęli oczy, jak ludzie, których czyste sumienie nie zakłóca snu. W rzeczywistości, byli zapewne bardzo zadowoleni, że tak łatwo wybrnęli z tej sprawy.

Po zatrzymaniu się pociągu na kilka minut w Saint Quenstin Marcjal przeszedł do przedziału innego. Teraz nie szukał już samotności i zajął miejsce obok jakiejś rodziny holenderskiej. Nowy towarzysz jego wymagał od dzieci, ażeby, przebywając na ziemi francuskiej, rozmawiały po francusku.

— To moja metoda, panie, — ze zwykłą swej rasie dobrodusznością rzekł do Marcjala. — Rozmawiajmy zawsze językiem tego kraju, po którym podróżujemy. Dzięki tej zasadzie moi dwaj najstarsi synowie potrafią rozmówić się po włosku, po hiszpańsku, po niemiecku i po holendersku.

— Rzeczywiście — odrzekł Marcjal — że holendrzy mają wrodzony dar łatwego przyswajania sobie języków obcych.

— Nie posiadamy daru większego, niż narody inne, tylko że językiem naszym mówi niewielka liczba ludzi. Język niderlandzki, chociaż bardzo zbliżony do djalektu, używanego przez mieszkańców całego wybrzeża morza Północnego i Bałtyku od Dunkierki aż do Rygi, zawiera w sobie zbyt wiele różnic, ażeby mógł się stać językiem powszechnym. Zresztą Holandja wcześnie stała się narodem cywilizowanym, niepodległym i nigdy nie chciała uznać swego języka za narzecze germańskie. Różnica pomiędzy niemieckim a niderlandzkim jest tak wielką, jak między francuskim a hiszpańskim. W każdym razie żaden z naszych sąsiadów nie zada sobie pracy nauczenia się mowy naszej.... Od młodości uczymy się po francusku lub po niemiecku.... A im więcej kto zna języków, tem lepiej.

— Najznakomitsi lingwiści pochodzą z waszego kraju — zauważył Marcjal. — My, niestety, zanadto lekceważymy tę piękną dziedzinę umiejętności ludzkich.

— Jesteście bardzo bogatymi, drogi panie — odrzekł holender. — Zadawalacie się urokiem swego pięknego języka i łatwością porozumiewania się wszędzie.

— To uwaga słuszna. — Niech pan doda, że zamało podróżujemy.

— Ach! podróże, panie... Ten chłopiec dwudziestoletni, Piotr, jak go pan widzi, sam jeden jeździł do Batawii. Zwiedził wyspy Sundzkie, Borneo, Sumatrę i Kapsztad.

Chłopak zarumienił się pod wpływem pochwały ojca. Matka pieszczotliwie pogłaskała syna po twarzy, trzykrotnie powtórzywszy jakiś frazes holenderski.

— Złapałem mamusię — rzekł ojciec — skazujemy cię na karę.

— Na karę, na karę! — wesoło zawołały dzieci.

— Zapłacę ją chętnie, niewdzięcznicy — odrzekła matka — lecz nie objawialibyście dzisiaj takiego zapału, gdybym była kazała wam prosić o smoczek w języku obcym.

Wszyscy roześmieli się serdecznie, a wraz z nimi i Marcjal. Czuł się szczęśliwym w tem towarzystwie ludzi poczciwych, zwłaszcza po gwałtownej scenie w przedziale poprzednim.

— Ten spokój, z jakim przenosimy się z miejsca na miejsce, co wam, francuzom, wydaje się rzeczą niebezpieczną, jest jednym ze skutków naszego sta-

nowiska politycznego i handlowego. Majątki nasze pochodzą z kolonij. Oddawna przywykliśmy uważać za rzecz bardzo użyteczną kilkoletni pobyt w Indjach niderlandzkich, na tych wielkich wyspach, które zdołaliśmy uczynić naszemi niestrudzoną pracą. Niegdyś powodziło się nam lepiej, ale anglicy nas odarli... Wiadoma rzecz, że większą część swej zamożności tylko nam zawdzięczają. Tak jest, wskutek prześladowań Filipa II-go prawie cały wspaniały przemysł flamandzki przeniósł się do Anglii, a wstąpienie na tron księcia Orańskiego Wilhelma II-go związało nam ręce i posłużyło tylko do rozwoju marynarki angielskiej.

— Wiem — rzekł Marcjal — że byliście wielką potęgą morską.

— Gdyby Ludwik XIV-ty uskutecznił swój projekt zawarcia z nami przymierza, Anglia nigdy nie zdobyłaby przewagi morskiej, z której korzysta z mniejszym niż my umiarkowaniem. Ostatecznie posiadamy kilka pięknych krajów, prawda chłopcze? Borneo, Sumatrę, a przedewszystkiem Jawę.

— Wyspa Jawa jest najpiękniejszą ze wszystkich wysp na świecie! — zawołał chłopak.

— Klimat nie bardzo zdrowy — zauważył Marcjal.

— W Batawii rzeczywiście niezdrowy — odrzekł Piotr — ale tylko w niższej części miasta, uczęszczanej przez kupców. Wyższa zaś część, Weltvreden, jest o wiele zdrowszą, choć posiada temperaturę bardzo wysoką... Zresztą, proszę pana, o kilka zaledwie mil od Batawii, istnieje raj ziemski, Buitenzorg, Sans-Souci. Prawie codzień powtarzają się tam burze, odświeżające powietrze. Znajduje się tam jeden z cudów świata, ogród botaniczny, obfitujący w najwspanialsze rośliny podzwrotnikowe.

Nastało chwilowe milczenie, podczas którego każdy z tego kółka podróżnych na swój sposób wyobrażał sobie tę wielką wyspę, miasto na górze i ogród cudowny. Wreszcie Marcjal zapytał:

— Przebywał pan i w Kapsztadzie?

— Właściwie nie w Kapsztadzie, lecz w Transwalu, gdzie mieszkają nasi krewni.

— Zapewne wychodźcy?

— Nie, panie — wtrącił ojciec — wychodźcy dawniejsi, Boerowie.

Marcjal zamyślił się. Przypomniał sobie o Van Reucie.

— Dokądże pan teraz jedzie?

— Do Breda.

— Może pan nazywa się Van Reuth?

— Nie, panie, nie jesteśmy Van Reuthami, ale dziwnym zbiegiem okoliczności syn mój ma pewien kom:s do nich. Zna ich pan?

— Bardzo mało — odrzekł Marcjal. — Nie będzie niedyskrecją gdy zapytam pana, czy mają oni krewnych w Transwalu?

— Mają — odrzekł syn — i do tego oddawna, od stu lat przeszło.

— Obchodzą oni pana? — zapytał ojciec.

— Nawet bardzo, gdyż i ja posiadam krewnych albo w Transwalu albo w rzeczypospolitej Orańskiej i właśnie staram się obecnie zasięgnąć o nich bliższych wiadomości. Zresztą wkrótce wyjadę do Południowej Afryki.

— Doskonale pan uczyni — zawołał holender — widok młodzieży rzutkiej sprawia mi przyjemność. Niech pan jedzie z nami do Breda, gdzie zaznajomimy pana z Van Reuthami, będącymi w wieku pańskim. Stracili oni niedawno rodziców i zdaje mi się, znajdują się w położeniu trudnem.

— Z całego serca przyjmuję pańską propozycję — odrzekł Marcjal — gdyż nie znam wcale języka holenderskiego.

— To rzecz mała; wszyscy holendrzy mówią po francusku. Czy Piotr czasem nie słyszał o pańskich krewnych transwalskich... Jak się nazywają?

— De Thélen d'Avincourt.

— Nazwisko szlacheckie — rzekł ojciec. — Nie przypominasz sobie, Piotrze?

— Zdaje mi się, że w Pretorji mieszka niejaki Davincourt, przyjaciel i krewny generała Jouberta.

— Czy nazwisko to dość powszechne w Transwalu?

— Słyszałem tylko o tym jednym. Chociaż przebywałem w Transwalu tylko trzy miesiące, ale znajdowałem się w warunkach, dających mi możność słyszenia nazwisk wielu rodzin boerskich. Wiadomo panu niewątpliwie, że Boerowie prowadzą życie patrjarchalne. A ponieważ zajmują się jedynie hodowlą bydła, więc historja rodzin i kraju, opowiadana w kołach rodzinnych, przechodzi z ojca na syna; słyszałbym więc o pańskich krewnych, gdyby przebywali w Transwalu. Ale może Davincourtowie osiedleni są w Kap, w Stellenbosch lub w Drackensteen, to jest w okolicy, w której niegdyś osiadła większość wychodźców francuskich i którą z tego powodu nazywano Fransche Hoeck, czyli Francuski Zaścianek.

Matka z dumą słuchała chłopaka, ojciec zaś zawołał:

— Oto najlepszy dowód, jak dalece podróże rozwijają umysł, gdyż Piotr nasz, z natury milczący, na raz stał się tak rozmownym w towarzystwie pańskiem. Jestem kontent z ciebie.

Piotr zarumienił się znowu. Był on młodzieńcem

bardzo przyjemnym, łagodnym jak panna, a mimo to odważnym, rzutkim, przedsiębierczym. Polubił Marcjala odrazu.

— Jaka szkoda — rzekł ten ostatni - że nie masz pan zamiaru odbyć swej podróży wcześniej, gdyż pojechalibyśmy razem.

— Niech pan tego nie mówi — zawołał ojciec, spoglądając na zaniepokojoną matkę, bo Piotr gotów pojechać z panem.

— Nie mógłby jechać ze mną — odrzekł Marcjal — gdyż podróż moja nie będzie wolną od trudności, nawet niebezpieczeństw.

— Niebezpieczeństw!...

Błękitne oczy Piotra trysnęły płomieniem.

— Prawdopodobnie, będę zmuszonym — mówił dalej Marcjal — przebyć najdziksze i najniedostępniejsze okolice rzeczypospolitych południowo-afrykańskich.

— Więc to będzie wyprawa naukowa?

— Tak.

Gdy pociąg zatrzymał się w Mons, obawiająca się o syna matka skorzystała z chwilowego zamieszania w wagonie, ażeby zwrócić rozmowę na przedmiot inny. Wkrótce rozległ się świst lokomotywy i na horyzoncie pokazała się czerwona łuna, zapowiadająca zbliżanie się do wielkiego miasta.

— Jesteśmy już w Brukselli — rzekł holender. — Tu już granica języka francuskiego; odtąd przeważać będzie niderlandzki. Ale my odstąpimy na ten raz od zwyczaju i będziemy dalej mówili pięknym językiem Voltaire'a i Chateaubrianda.

Po kilku minutach pociąg wjechał na stację. Większa część podróżnych udała się na posiłek do bufetu, a wraz z nimi i Marcjal. Wypadek zrządził, że znalazł się tuż za swymi anglikami i usłyszał urywek ich rozmowy.

— Co powie na to mister Skill? — zapytał wyższy.

— Postąpiliśmy niezręcznie — mruknął drugi. — Zresztą, zdaje mi się, że mister Skill wyrzeknie się swego projektu, gdyż ma do czynienia z przeciwnikiem mocnym.

— Możecie go panowie o tem zapewnić — rzekł Marcjal głośno — i radzić mu, by zeszedł ze złej drogi, na którą wkroczył zbyt ryzykownie. Nie ma najmniejszego dowodu materjalnego poszukiwanego przez niego sekretu i potrzeba większej zręczności, niż posiada ją mister Skill, ażeby choć jako tako zrozumieć tę sprawę.

Powiedziawszy to, pozostawił zdumionych anglików i wraz z rodziną holendrów udał się do bufetu.

XII.

W przeciągu godziny pociąg przebył przestrzeń, dzielącą Bruksellę od Antwerpii. Z tego ostatniego miasta należało przesiąść się do pociągu, udającego się do holenderskiego Brabantu północnego, którego głównem miastem jest Breda.

— Jesteśmy — rzekł holender — w mieście, któremu niegdyś wyrządziliśmy krzywdę niczem niepowetowaną. Postąpiliśmy jak zbrodniarze, nie pozwalając do roku 1830 na otwarcie żeglugi na Skaldzie, za co antwerpczycy słusznie mają żal do nas do dnia dzisiejszego. Dopiero rewolucja zapewniła Antwerpii prawo przyjmowania w swym wspaniałym porcie okrętów świata całego. Port ten jest dziś najważniejszym w Europie, ruch w nim dwa razy większy niż w Marsylii i więcej ożywiony niż w Hamburgu. Belgia może się szczycić takim rezultatem, osiągniętym w przeciągu pół wieku.

— Rzeczywiście wspaniały port — dorzucił Marcjal.

Był już dzień, gdy pociąg zatrzymał się w Breda. Jestto miasteczko małe, ale jak każde holenderskie, bardzo czyste. Po ulicach snuli się już mleczarki i piekarze, roznoszący bułeczki na mleku, używane do pierwszego śniadania.

Dwie wielkie dorożki, z których każda mogła pomieścić rodzinę, wystarczyły do przewiezienia Marcjala i holendrów do mieszkania tych ostatnich, gdzie spożyto śniadanie, według zwyczaju miejscowego, złożone z rozmaitego rodzaju mięsiwa zimnego, konserw, ryb, ciastek i pierników. Poważny teraz gospodarz czynił honory domu z wyrafinowaną uprzejmością holendra, ośmieszanego przez ich nieprzyjaciół.

Marcjal podziwiał porządek domowy, czystość i serdeczność rodziny holenderskiej. Z początku nie mógł zrozumieć, jak może tyle cnót domowych łączyć się z usposobieniem do wypraw dalekich, ale po głębszem zastanowieniu się nad tem zjawiskiem znalazł je naturalnem; gdyż skłonność do życia awanturniczego nie jest włóczęgostwem na sposób cygański, lecz raczej walką, toczoną w celu powiększenia zarówno materjalnego jak duchowego, dobrobytu domowego, wspomnień, doświadczenia. Spokojny, malowrażliwy charakter holendra, daje mu większą pewność powodzenia w przedsięwzięciach śmiałych, a ciepło ogniska domowego jest dla niego źródłem odwagi i cierpliwości.

Ten mały naród jest żywym dowodem, że bogactwo znajduje się w przemyśle, nie zaś w złocie lub nawet w naturalnych produktach ziemi. Niderlandczycy posiadają bardzo mały kawałek ziemi nie-

osobliwej, zdobytej na morzu. Żyją pod bezustanną groźbą zalewu, ponieważ grunt ich leży niżej poziomu przypływu morskiego: niegdyś rozerwali sami szerokie tamy powstrzymujące fale morza Północnego, ażeby zabezpieczyć się od najazdu i zatopić nieprzyjaciół. Osuszyli wewnętrzne morze Harlemskie i dla walki z przesiąkającą wodą pobudowali pompy nieustające, poruszane przez setki wiatraków. Tym sposobem dno morskie zamieniło się w doskonałe pastwiska, na których wypasają się stada bydła duńskiego. Rzecz prosta, że ludzie, walczący zawsze z wodą, musieli stać się doskonałymi marynarzami. Podczas gdy hiszpanie uganiali się w Ameryce za złotem, które ich bogaciło bez pracy, holendrzy znaleźli sposób wydobywania bogactwa z wód, oddając się uciążliwemu łowieniu śledzi i dorsza, które nietylko dawało im pieniądze, lecz uczyniło ich dzielnymi ludźmi, zuchowatymi marynarzami i przez czas długi królami oceanu.

Marcjal snuł te uwagi i podziwiał niewyczerpaną żywotność tych Batawów, którzy z takiem powodzeniem oparli się niegdyś najazdowi rzymskiemu i tak upokarzającą porażkę zgotowali później strasznemu Filipowi II-mu, jego złotu, wojskom i jego wodzom.

Marcjal pogrążony był w tych wspomnieniach, gdy wszedł Piotr z propozycją zaprowadzenia go do Van Reuthów. Mieszkali oni przy Eind Straat, jednej z główniejszych ulic w mieście i zajmowali lokal na pierwszem piętrze z oknami zaopatrzonemi w lustra, zwane szpiegami, dzięki którym nawet siedząc wewnątrz pokoju, można widzieć wszystko, co dzieje się na ulicy.

Właściciel tego mieszkania, Mynheer Van Reuth, był mężczyzną wzrostu słusznego, o twarzy delikatnej, na której dobroć zmieszana z wyrazem poczucia godności własnej, przyjemne sprawiała na obcych wrażenie. Włosy miał jasne, lekko fryzowane, ręce niezmiernie delikatne i białe, oczy błękitne, tryskające życiem, odwagą i inteligencją.

Marcjal przez kilka sekund spoglądał na niego z zachwytem. I Van Reuth, prawdopodobnie uczuł ku niemu sympatję, gdyż po wymienieniu przez Piotra nazwisk, serdecznie, jak staremu towarzyszowi podał rękę i czystym językiem francuskim wytłumaczył się z powodów, które skłoniły go do odpowiedzi na ogłoszenie Marcjala.

— Gdy przeczytałem je w dziennikach — oświadczył — porozumiałem się z pańskim korespondentem, od którego dowiedziałem się, że informacji tej żąda pewien francuz, nazwiskiem de Thélen de Noville...

— Lecz zkąd wiadome było panu nazwisko pełne? My od bardzo dawna nazywamy się tylko de Thélen.

— Zaraz objaśnię pana. Wiele powodów miałem do przypuszczenia, że to ze mną właśnie pragnie pan porozumieć się, pochodzimy bowiem nietylko z Transwalu, lecz nadto i z Francji, to jest, że jeden z naszych przodków, hugonota, wyemigrował z kraju. Poszukiwania więc pańskie odnosiły się więcej do mnie, niż do innych Van Reuthów. Zrozumie pan to jeszcze lepiej gdy dodam, że nasz protoplasta francuski nazywał się de Thélen d'Avincourt.

— Rzeczywiście, ma pan słuszność, jesteś pan osobą, której poszukuję, a w takim razie łączy nas pokrewieństwo.

— Wprawdzie bardzo dalekie, gdyż w rodzinie naszej przeważa krew holenderska, lecz w każdym razie nie uważam pana za obcego

— I ja mam dla pana uczucia braterskie — z młodzieńczym zapałem zawołał Marcjal.

— Jaką to przyjemność sprawi ojcu i mamie — rzekł Piotr.

— Czy nie domyśla się pan powodów, które sprowadziły mnie do pana? — zapytał Marcjal.

— W części. Przypuszczam, że chodzi panu o pewien list któregoś Avincourta do któregoś z Novillów, list, który był przejęty i pozostawał w rękach naszej rodziny wskutek okoliczności, które gotów jestem opowiedzieć, jeżeli one pana interesują.

— Owszem, będę panu wdzięcznym.

— Jeden z Van Reuthów, zobowiązany przez Ryszarda d'Avincourta do wręczenia listu jego kuzynowi Novillowi, podczas podróży umarł na ospę, która zdziesiątkowała podróżnych i załogę statku. Rzeczy jego były odesłane do Holandji i nikt nie uważał za potrzebne przejrzeć jego papiery, uważane prawdopodobnie za nieważne, gdyż dopiero ojciec mój otworzył zapieczętowaną kopertę, zawierającą w sobie list d'Avincourta do jego kuzyna. Przechowywaliśmy go, jako pamiątkę archeologiczną, teraz dopiero widzę, że ma on znaczenie większe. Powiedziałbym nawet, że posiada wartość realną, sądząc z zabiegów pewnego anglika. Nie mogę domyśleć się, w jaki sposób dowiedział się on o jego istnieniu, lecz kilka już razy zgłaszał się z prośbą o sprzedanie mu tego listu. Za każdym razem odmawiałem mu.

— Pokazywał mu go pan?

— Pokazywałem. Nie mogłem mu tego odmówić, choć twarz jego bardzo mi się nie podobała.

— I ojciec mój czuł tę samą odrazę do niego, rozumie się, jeżeli pański anglik i jego są jedną

i tą samą osobą. Lecz dlaczego przypuszcza pan, że list ten posiada wartość realną?

— Dlatego, że anglik ten, pomimo zapewnienia o swej słabości do zbierania papierów starych, nigdy nie chciał nabyć innych, nierównie cenniejszych i natarczywie nalegał, ażebym zajął się odszukaniem drugiego listu tej samej osoby.

— Więc list ten zawiera w sobie jakie ciekawe odkrycia?

— Osądzi pan zaraz sam. Zdaje mi się, że z dwoma lub trzema innemi listami tworzył on całość, a wszystkie razem posiadały pewne znaczenie. Każę je przynieść.

Zadzwonił i gdy wszedł służący, rzekł:

— Poproś panienkę do mnie. (C. d. n.)

Z TAJNIKÓW SERCA.

NOWELA

Przez

Luigi Capuana.

Z włoskiego.

Woźny sądowy wywołał:

— Agrypina Caruso!

Na sali rozległ się szmer, głowy przysięgłych zwróciły się ku drzwiom, przez które miała wejść żona podsądnego. Nie zjawiała się jednak.

— Agrypina Caruso! — wywołał woźny po raz wtóry.

Wreszcie weszła kobieta, śniada, z oczyma spuszczonemi, chwiejąc się na nogach. Woźny musiał ją podprowadzić do przewodniczącego, który spojrzał na nią badawczo przez okulary.

— Proszę usiąść — rzekł — i opowiedzieć wszystkie szczegóły panom przysięgłym.

Biedna kobieta podniosła głowę, popatrzyła na twarze ku sobie zwrócone i głosem zdławionym odparła:

— Proszę panów, ja nic nie wiem.

— Nie ma potrzeby nikogo oskarżać. Niech pani tylko opowie prawdę. Z czego dziecko umarło? Kogo pani posądza?

Przewodniczący mówił głosem łagodnym, uśmiechał się dobrotliwie i ręką wskazywał przysięgłych, dając tem do zrozumienia, że on wie dobrze, jak się rzeczy miały, ale że ci panowie powinni się także dowiedzieć i to z jej ust, bo tak każe prawo.

Młoda kobieta bąknęła kilka słów niezrozumiałych.

— Głośniej — rzekł prokurator.

Odwróciła się w tę stronę i teraz dopiero spostrzegła, po za żelazną kratą swego męża, który wpatrywał się w nią oczyma pałającemi. Zobaczywszy go kobieta płaczem wybuchła i nie mogła się uspokoić.

Po długiej chwili opanowała wzruszenie i zaczęła opowiadać:

— Mała była córką mojego pierwszego męża. Z początku i ten ją kochał, ale potem, niewiadomo dlaczego, zaczął się z nią źle obchodzić. Bił ją o lada drobnostkę, nie mógł jej znieść.

Tego dnia posłałam ją z siostrzyczką przyrodnią, żeby zaniosły mężowi śniadanie do sklepu. Mała, jego córka, bała się iść sama, więc kazałam iść Giovannie, choć byłam pewna, że to zrobi przykrość mężowi.

Och! czemużem ją posłała! Dzieci bawiły długo; ja siedziałam, jak na węglach. W ostatnich dniach on był bardzo rozdrażniony i bałam się, że wywrze złość na mojem dziecku.

I cóż mu ono zawiniło? Chwilami nie mógł na nią patrzeć, nie chciał słyszeć jej imienia. Nazywała się Giovanna, tak jak mój mąż pierwszy.

Wreszcie dzieci powróciły, miały w fartuszkach pełno wiorów. *Mój* jest stolarzem.

— Co ci mówił ojciec? — pytałam Giovanny.

— Nic.

— Czy cię nie wybił?

— Nie, mamusiu, nawet nas poczęstował.

Odetchnęłam swobodniej. Ale po chwili biedaczce zrobiło się niedobrze, miała nudności, kolki. Dałam jej gorącej wody do wypicia. Jesz-

cze się pogorszyło. Zaczęła wymiotować. Miała okropne boleści, krzyczała w niebogłosy.

Zbiegły się sąsiadki, wpadł lekarz, przechodzący właśnie obok domu naszego.

— Co ona jadła? — zapytał.

— Ja nie widziałam.

Popatrzał na plwociny dziecka i kiwał głową.

— Mamo! — jęczała Giovanna, trzymając się za brzuszek — mnie tutaj pali. — Oczy wychodziły jej z powiek; była okropnie blada. Moje biedactwo!

Kobieta rozpłakała się znowu. Przewodniczący starał się ją uspokoić, zadawał jej pytania. Wreszcie powstrzymała łzy i mówiła dalej:

— Lekarz kazał jej dać mleka i odszedł, ale powrócił za chwilę z sędzią śledczym dla wy pytania małej. Zaledwie dobywała głosu. Ja jeszcze nie mogłam zrozumieć, po co ten sędzia. Byłam przerażona.

— A mąż pani? — przerwał prokurator.

Ona drgnęła.

— Mój mąż?... Jak wrócił z warsztatu i zo baczył tyle osób, bardzo się zmieszał.

— Pani zeznawała inaczej przed sędzią śledczym — wtrącił prokurator. — Proszę sobie do brze przypomnieć.

Przewodniczący zajrzał do aktów i czytał: „On, jak wrócił z warsztatu, stanął na uboczu, był widocznie zły i niezadowolony.“

— Niechże nam pani teraz powie, co mówił jej mąż, gdy sędzia oświadczył, że dziecko jest otrute? — pytał przewodniczący.

Kobieta zawahała się, spojrzała na męża, lecz przekonana, że nie ma co kłamać przed tym panem, bo on wie wszystko, rzekła:

— Mąż zawołał: „To niepodobna!“ I spytał małą: „Czy nie połknęłaś czasem zapałki?“ — „Nie“ — odpowiedziała. — Sędzia śledczy kazał mu milczeć...

Giovanna opowiadała, że ojciec, tam, w skle pie, dał jej pić coś bardzo niesmacznego, że zmusił ją by wypiła, a resztę wylał na ziemię... w kąt...

— Dawał także pić swojemu dziecku?

— Tak.

— Ale zapewne z innej szklanki?

Na to pytanie przewodniczącego, skinęła głową.

— Słuchamy dalej — rzekł przewodniczący.

— On zawołał: „To kłamstwo!“ Sędzia śledczy kazał mu znowu umilknąć. Ja krzyczałam:

— „Łotrze! łajdaku! coś zrobił?“

— „Jesteś nikczemniejsza od tej małej“ — rzekł do mnie z wyrzutem i chciał odejść. Ale sędzia śledczy powiedział: „Proszę zostać i milczeć.“

Wtedy on przypomniał sobie, że ma w sklepie truciznę na szczury. Może mała zjadła odrobinę, nie wiedząc, co takiego.

To musiało być tak, a nie inaczej. On nie jest zły... Niepodobna, żeby on otruł małą... naumyślnie!

Kobieta wstała i popatrzała na męża, który wlepiał w nią wzrok błędny, bo nie mógł zrozumieć, że ona go jednak broni.

— Niech pani usiądzie — rzekł przewodniczący. — Proszę powiedzieć panom przysięgłym, czy mąż był zazdrosny?

— Panowie, on mnie kochał okropnie, był zazdrosny do szaleństwa. Nie mogłam zrozumieć, dlaczego był zazdrosny o nieboszczyka. Ja przecież musiała modlić się za tamtego i wspomnieć go czasem, bo był człowiek święty... Mała urodziła się w miesiąc po jego śmierci. Była do niego podobna, jak wykapana. Dałam jej na imię Giovanna, bo on zwał się Giovanni... Ale mój nie pozwalał mi wołać na nią po imieniu, nienawidził jej.

Już od roku była dla niego bezimienną, a przezywał ją tak okropnie, że płakałam po kątach. Jak tylko to spostrzegł, zaraz wyprawiał krzyki, awantury...

Niegdyś złapał mnie, jak wietrzyłam ubranie nieboszczyka. Boże, co ja się musiałam nasłuchać! Więc myślę o tamtym, więc go kocham... Więc on jest intruzem... Wyrywał sobie włosy z głowy, płakał, bluźnił... łamał krzesła, talerze...

Zamknęłam się w pokoju przestraszona...

Wtedy on poszarpał ubranie nieboszczyka (nowiutkie ubranie z cienkiego sukna, biedak miał je zaledwie kilka razy na sobie), wyrzucił je psom na pożarcie, jak powiedział... On był tutaj panem, on chciał rządzić, on chciał być kochanym — wrzeszczał, a potem płakał, jak dziecko.

Czemu? Przecież ja go także kochałam. Czyż on tego nie wiedział? Jakże miałam go przekonać?

Imię nieboszczyka nie postawało już na moich ustach, schowałam wszystkie jego przynależności. Cóż mu to szkodzi tam, w Niebie? Mój uspokoił się jakoś... Ale w domu była mała, nazywała się Giovanna, on nie chciał, żebym

tak na nią wołała, bo powiadał, że ja wołam nie na nią, ale na nieboszczyka. Bóg wie co mu chodzi po głowie.

Ja, biedna matka, nie mogłam nawet mówić do mojego dziecka po imieniu!... To okropne! Kochałam ją za to jeszcze silniej, przez litość... A jednak kochałam i męża, nie chciałam mu się sprzeciwiać. Mała nie nosiła już imienia, które jej dano na Chrzcie świętym... To był grzech śmiertelny... Ale ja kochałam swojego męża... Zresztą spowiednik mówił:

„Moja córko, dla świętej zgody, zrób to ustępstwo...

Kobieta przerywała co chwila to zeznanie, spoglądając na męża... Chwilami strach ją ogarniał. A nuż, to co mówiła, zaszkodzi jemu, zwiększy jego winę w oczach sędziów... Ale była to szczera prawda.

* * *

Siedząc na ławie świadków, słyszała, jak adwokat opowiadał całe jej życie; ale opowiadał na swój sposób, nie bardzo dla niej jasny; rozumiała tylko, że mówi o jej pierwszym mężu i przed oczyma jej przesuwały się kolejno obrazy tej miłej przeszłości.

Czuła jakby promienie wiosennego słońca, zapachy łąk, ryk bydła; widziała trawę, drzewa; szła do studni wązką drożyną.

Wtem z za płotu wyskoczył... on, objął ją wpół, posadził na swoim mule, który stał już osiodłany i porwał ją, jak złodziej, gwałtem a całował w usta, w szyję, we włosy.

Ona broniła się, oburzona, wylękniona. A muł biegł szybkim truchtem, a drzewa przesuwały się, jakby ziemia się zakręciła.

A on jej mówił:

— Teraz jesteś moją.

Ona mu odpowiadała:

— Nie, nie! To zdrada. Nie!

Muł pędził, przekradał się przez wzgórza oliwne, unikając gościńca.

A ona, wołając wciąż, że go nie kocha, że nie chce iść wbrew woli matki, pomimo szczerego gniewu, czuła już w sobie wielką tkliwość i wzruszenie i nawet litość dla tego chłopca silnego, który ją wykradał, bo ją kochał i za jakąbądź cenę, chciał ją posiąść.

— Teraz jesteś moją — powtarzał.

I znowu ją całował, choć ona ciągle krzyczała:

— Morderco!... Zdrajco!... Nie... nie.

Ale on dobrze zmiarkował, że głos jej mięknie, że ona już mu oporu nie stawia.

Wreszcie przestała mu wymyślać i spytała:

— Czego chcesz odemnie? Odwieź mnie do domu. Puść!

Stanęli przed grotą wśród figusów indyjskich; zeskoczył z muła i biorąc ją na ręce, jak dziecko, rzekł poważnie:

— Będziesz u mnie królową.

A ona płakała, z twarzą ukrytą w dłoniach i nie odpowiadała mu nic.

— Będziesz u mnie królową.

Adwokat wymachywał rękami, uderzał pięścią w stół.

To dziwna, nie rozumiała dobrze słów jego, ale budziły w jej myśli wspomnienia szczęścia... Trwało krótko!

Półtora roku zaledwie była jego królową... i nietylko mu przebaczyła to porwanie, ale go kochała, nad wszystko na świecie.

I oto teraz biedaczka, nie widziała ani przewodniczącego, ani przysięgłych, ani krucyfiksu, ani tłumów, ani krat, za któremi był jej drugi mąż, nie słyszała nawet głosu adwokata, bo była wpatrzona, wsłuchana w tę przeszłość jasną, promienną.

Ale zatarły ją inne obrazy: widziała ludzi, wynoszących trumnę dziecka... i zdawało jej się znowu, że jej zabierają serce!...

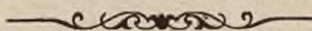
* * *

Tłum cisnął się do drzwi, aby zobaczyć zblizka tę kobietę, kochaną tak silnie po dwakroć, ale musiano długo czekać.

Biedaczka, usłyszawszy wyrok śmierci na swego drugiego męża, padła zemdlona z okrzykiem rozpaczy, z rękoma wyciągniętymi do człowieka, którego karabinierzy odprowadzali do więzienia.

A prezes mówił do obrońcy:

— Oto masz kobietę!... Zapomniała o wszystkiem... nawet o swojej córeczce.



Redaktor odpowiedzialny Dr. Kazimierz Ostaszewski-Barański. Właściciele i wydawcy: Dr. K. Ostaszewski-Barański, A. Milski i Sp.
Z drukarni J. Czaińskiego w Gródku.